

# WSPOMNIENIA Z DZIECIŃSTWA

**B**URZA REWOLUCJI i ogień walk o niepodległość kraju nie ominęły i naszego domu. Tylko polskie dziecko wplątane jest od zarania życia w tragiczne powikłania walki, tylko polskie dziecko od najwcześniejszych dni wprowadzone jest w środek zagadnień narodowych, cierpień, buntów i nadziei... Od dwóch wieków dzieciństwo Polaków pozbawione jest troski, a uśmiech i radość każdego pokolenia przeplatane łzami, krwią i tragedią.

Ponure, to przeciągłe, to urywane gwizdy fabryki... Strajk... Ojciec na werandzie przemawiający do zbitej, milczącej masy robotników, stłoczonych na klombie... Róże, kwiaty, trawa zdeptana, wbita w ziemię. Dobrze, znajome, miłe twarze przyjaciół z fabryki... jakieś prawie wrogie i nieprzyjazne... Strajk...

Wciśnięty w róg werandy, mały, sześćoletni chłopczyk usiłuje zrozumieć, próbuje pojąć.

— Przecież Tatusz jest w P.P.S. — szepce do 9 letniej siostry. — Czego oni tacy rozgniewani?

— To są przywódcy Socjal Demokracji — objaśnia siostra uczenie. Wie, bo tak mówiła Magdusia w kuchni: „Socjalni demokraci są, proszę panienki. Oni z ruskimi socjałami razem idą. Powiadają, że żadna Polska niepotrzebna. Tylko walka klas jest. A pan dyrektor ciągle o Polsce opowiada i jest dyrektorem“...

Wreszcie niektórzy robotnicy zaczynają wołać:

„Niech ich towarzysz dyrektor nie słucha!... Niech żyje P.P.S., niech żyje niepodległa Polska!... Oni idą pod moskiewską komendą;... Krew naszą teraz leją katy...

Bucha pieśń, podchwyciona przez wszystkich, grzmi, uraga, grozi.

— Czemu oni nie śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła“, czemu nie śpiewają?!

Siostra nie wie... Skądże miałyby wiedzieć!... Więc powiada, co jej dziecinna wyobraźnia przyniosła na usta: Bo się boją Moskali!

A właśnie w przedpokoju dzwoni gwałtownie telefon... Staromodny, niezgrabny telefon z tubką i ze słuchawką, przez którą często „łapie prąd“. Dzwoni długo, natarczywie. Słyszymy, jak przyjmuje go Matka.

— Tak mówi Matka, spokojnym, równym głosem — tak, dobrze, tak... Zaraz powiem... tak... dobrze... Dziękuję za wiadomość, dziękuję... dowiedziałam!

Po chwili smukła i zgrabna postać Matki pojawia się na werandzie, podchodzi do Ojca i coś mu szepce

na ucho. Pieśń zaczyna zamierać. Jeszcze tu i ówdzie niektórzy zaciągają fałszywie... ale wreszcie i oni milkną... Zalega cisza.

Ojciec podnosi rękę do góry.

— Towarzysze! — woła. — Ktoś nas zdradził! Uważałem dotąd nasze spory za wewnętrzne, między nami. Wicie, że partia moja, P.P.S. jest przeciwna „dzikim“ strajkom, a ten strajk, jak wiele innych, jest „dziki“... Nie wiadomo jakim interesem służy... Do tego ktoś nas zdradził, powtarzam, i dał znać oberpolicmajstrowi Awałów w Częstochowie o strajku we Wrzosowej i w Korwinowie. Z Częstochowy wysłano szwadron kozaków oraz żandarmów!

Krzyk podniósł się między robotnikami: — Prowokacja, Moskiewska Robota!... Tłum zakochał się...

— Spokój!! — mocnym głosem zawałał Ojciec. — Teraz nie czas na porachunki!... Zło się stało!...

— Co radzicie zrobić?! — padło z tłumu.

— Rozejdźcie się do domów! Żadnych awantur, żadnych sporów i okrzyków!... Gdy przyjadą, całą odpowiedzialność wezmę na siebie!

I podniósł Ojciec głowę wysoko, gładząc prawą ręką jasną, bujną czuprynę. Wówczas nie wiedziałem dlaczego, ale byłem bardzo dumny z Ojca...

Tłum stopniał i po kilku minutach nie było już nikogo... Pozostały zdeptane kwiaty i trawa wbita w ziemię...

Matka surowo poleciła nam udać się do dziecinnego pokoju. Dostaliśmy kolację i kazano nam iść do łóżek wcześniej niż zwykle...

... Obudziło mnie światło i niezwykły ruch w domu. Gdy podniosłem powieki, na widok tego, co ujrzałem, serce stanęło mi w piersiach... Na brzegu mego łóżka, którego siatka była opuszczona (widocznie Greti zapomniiała podnieść, gdy kładłem się spać), siedział ogromny drab w szarym szynelu, trzymając karabin między nogami. Oparł łokieć o łutę i drzemał...

Odważyłem się zerknąć w kierunku łóżka siostry. Siedział tam drugi, tak sam „sołdat“. Ten ujrzał widocznie błysk moich oczu, bo rozjaśnił kałmucką twarz w uśmiechu, w którym pokazały żółte, ostro zakończony zęby i rzekł:

— *Niebezpiekojties, malczik, niebezpiekojties!*

Leżałem nieruchomo i wsłuchiwałem się w dziwne stuki i szurania w innych pokojach. Po chwili do nas weszła Matka.

— Nie śpiszcie? — zdziwiła się.

— Co to się dzieje, Mamusiu? — zapytała siostra.

— Rewizja.

— Gdzie jest Tatusz?

— Bądź grzeczna, śpij! Jutro może pojedziemy do Częstochowy, do Tatusia.

— Tatusz jest w Częstochowie?

— Zabrali go... Śpij teraz!

— Kiedy ci Moskale... i takie światło...

Matka wyszła z pokoju. Po chwili wróciła z żandarmem oficerem. Miał malinowe wypustki, fioletową czapkę i bardzo błyszczące epolety. Był młody i wysoki. Po wylakierowanych butach był niecierpliwie szpicrutą. Obaj żołnierze zerwali się jak oparzeni.

Oficer obrzucił pokój szybkim spojrzeniem. Zajrzał do szuflady, gdzie były moje książki, wyjął jedną, otworzył i głośno przeczytał:

— „Książę Józef Poniatowski“ Przyborowskowi! *Wot i literatura dla malczika! A ruskich książek niet?*

„Książę Józef Poniatowski“ Przyborowskiego! Oto literatura dla chłopca! A rosyjskich książek nie ma?

Matka nie odpowiedziała. Oficer wzruszył ramionami i zatrzasnął drzwi biblioteki.

— *Udirajtie won!* (Wynoście się) — warknął do żołnierzy, a zwracając się do Matki, rzekł na odchodnym:

— *Wy zdzies' wie prestupniki!* (Wy tutaj wszyscy jesteście przestępcami) — kopnął drzwi z pasją...

Matka zdmuchnęła lampę i zdławionym głosem powiedziała do nas bardzo wyraźnie i spokojnie:

— Oni zaraz sobie pójda... nie bójcie się... śpijcie, dzieciaki.

\* \* \*

Ale do Częstochowy nie pojechaliśmy ani następnego dnia ani następnego miesiąca. Oberpolicmeister Awałów odmawiał wszelkich przepustek i nie pozwalał rodzinom odwiedzać więźniów.

Robotnicy z fabryki i służba fabryczna okazywali Matce, i nam dzieciom bardzo, bardzo dużo serca... Byli jakby zawstydzeni i trochę niepewni, ale zawsze gotowi pomóc, czy wyręczyć... Codziennie, wczesnym rankiem biegła sztafeta do Rakowa, wielkiej luty żelaznej, pomiędzy Częstochową a Wrzosową i Korwinowem... W Rakowie jednym z dyrektorów był inżynier Władysław Hackiewicz, serdeczny przyjaciel Ojca i również czynny członek P.P.S... Miał on zawsze wiadomości z więzienia dla Matki, a często nawet karteczki, tak zwane „grypsy“, pisane ręką Ojca... Na początku zimy jednak i ten kontakt urwał się, gdy również aresztowano i Hackiewicza.

Wielu ludzi z fabryki zabrano do wojska na wojnę rosyjsko-japońską. Poszedł również i ojciec mego biednego przyjaciela — Danką, stróż Blinstrup. Na pożegnanie obaj ze strangretem Piotrem „podchmielili sobie siarczyście. Spotkałem ich obu, wspartych jeden o drugiego, gdy brnęli przez zaspę śnieżną po drodze do czworaków.

— O, paniczku! — ucieszył się Piotr. — Kum idzie w „sołdaty“ i będzie „Japończyków“ grzał... A kacapy dostaną łupnia! — Wykrzyknął z oczywistym brakiem logiki. Biorąc zaś przyjaciela pod pachę, zakończył melancholijnie:

— A ty kum wróc, i nie daj się zabić, bo szkoda!

Utkwiła mi ta scena szczególnie w pamięci, Blinstrup nigdy już nie wrócił. Zamiast niego nadeszła poczta duża, zalakowana koperta, nad którą jego żona długo

plakad i chłapa, a dwoje małych dzieci, bracia Danka, krzyczało w niebogłosy, nie mogąc zrozumieć co się matce stało.

Mały, kulawy chłopczyk siedział w końcu stróżówki i z biciem serca patrzył na poraną twarz kobiety, tak bardzo zmienioną w spazmie bólu i rozpacz.

Podczas zimy tego roku (1904-1905) spadły wielkie śniegi... Było to źródło dla nas, dzieci, nieustannej uciechy. Bałwany, śnieżki, „pałace“, ze śniegu... Siostra nie pojechała do Krakowa. Matka obawiała się, że będzie od nas oddziela, zresztą przepustki graniczne było coraz trudniej otrzymać. Bawiliśmy się we dwoje, złączeni wspólnymi zmartwieniami: więzieniem Ojca i odjazdem Gerti do rodzinnego Tyrolu. Bawiliśmy się w ogrodzie, bo wypadły za ogród były surowo zabronione. Zresztą bawiliśmy się też trochę... sami. Koło fabryki kręcili się jacyś nieznani, ponuro wyglądający ludzie. Często słychać było rewolwerowe i karabinowe strzały, dochodzące od strony toru kolejowego. Tor i most przez Wartę obsadzony był przez „soldatów“ w wielkich, futrzanych czapach — Sybiracy. Po drogach patrolowali kozacy i można dostać było najhajem przez plecy, jak to się zdarzyło dzieciom naszej Magdusi, gdy szły z mlekiem i z kobiałkami z masłem ze wsi do nas, do Korwinowa.

Przybiegły zapłakane i zadyszane, tuląc kobiałki do piersi. Mały, sześciolatek Jaś, gdy mu zdjęto korzuszek i koszulinę, miał wielką, czerwoną pręgę przez plecy. Magdusia pomstowała, przeklinała, że gdyby słowa mogły zdruzgotać, nie byłoby „kacapów“ więcej na świecie.

— A wszystkiemu winne, proszę pani — dowodziła Matce — te „demokraty“ i ci „specjaliści“!

— Jacy znowu „specjaliści“?

— A ci, do których partii pan przystał i teraz siedzi w więzieniu!

— Socjaliści, Magdusi, a nie „specjaliści“!

— Może tam i „socjaliści“, jak pani chce, ale sama słyszałam, jak na moście żołdacy wołali do jednego, co chciał przejść: „ej, ty, specjalist, kuda idziesz?“, a gdy im nie odpowiedział, to go zaraz wzięli strażniki do „karaułu“. Mówił strażnik, że znaleźli przy nim paczkę dynamitu, i że on „specjalist“!

Jednego dnia śnieg był tak kopny i taką grubą warstwą legł na pola i drogi, że — gdy Matka wracała z Częstochowy po daremnych usiłowaniach odwiezienia Ojca — Piotr wjechał sankami w rów pod samymi czworakami, a konie zapadły po brzuchy, dyszel się złamał i sanie z pasażerką zagłębiły się w miękkim puchu. Nic nikomu się nie stało, lecz, nie wiem czemu, obraz ten szczególnie mocno wrył się w moją pamięć... Dotąd, gdy przymknę oczy, widzę z okna pokoiku służbowego Magdusi, skąd był świetny widok na czworaki i na drogę: deresz niespokojne i zdenerwowane, wyciągane za uzdę z rowu, widzę Piotra odczepiającego orczyki, żeby nie były „koni po nogach i widzę Matkę w czarnym futerku i w czarnym okrągłym kołpaczku, jak bierze przez kopny śnieg w kierunku bramy naszego podwórza... Dziwnie, jak na korze mózgowej dziecka, niby na czulej błonie filmu, odbijają się niektóre obrazy, bynajmniej nie najważniejsze, po prostu, niektóre,

gdy zaś inne fakty, o zasadniczej wadności, giną w otchłani niepamięci i już nigdy nie powracają.

... Tej samej zimy jeszcze wydarzył się inny fakt, który utkwił w naszej pamięci: wielki pożar jednego z budynków fabrycznych... Słyszę jeszcze w wyobraźni po dzień dzisiejszy nawoływania ludzi, biegnących do pożaru, widzę czerwoną lunę, krwawo malującą śnieg, oblepiony na szybach, i, słyszę jeszcze spokojny głos matki, która weszła do dziecinnego pokoju i nachyliła się nad łóżkiem siostry, która zaczęła płakać.

— Śpij, Krysiu, śpij!... To daleko od nas!... Pożar ugasza.

Podobno pożar został zaproszony przez dwóch z „bojówki“, którzy nocowali w pustym budynku i ledwo zdolałi zbiec przed strażnikami... Myśmy we dwoje z siostrą wiedzieli tylko, że poprzedniego dnia jakichś dwóch „panów“ przyjechało do Matki, że rozmawiali długo w saloniku przy zamkniętych drzwiach i, że potem wyszli do ogrodu razem z Matką, a dzieciom kazano iść spać, co nam bardzo się nie podobało.

Wreszcie nadeszła wiosna i nowe zabawy w ogrodzie całkowicie pochłonęły naszą wyobraźnię. Bawiliśmy się w zasadzie w „Moskala i Japończyka“, przy czym każde z nas koniecznie chciało być „Japończykiem“, o co kłóciłiśmy się całymi godzinami. Raz nawet bawiliśmy się w „strażnika“ i „rewolucjonistę“, w której to zabawie, jako „stójkowy“, zamknąłem siostrę w komórce, zamienionej przez nas na „więzienie“ i zrobiłem to tak dokumentnie, że trzeba było wzywać ślusarza z fabryki, aby drzwi otworzył. Klucz znikł, a siostra przesiadziała w ciemności 4 godziny. Napadły ją ataki histerycznego płaczu, a dotąd trwa między nami spór, czy były tam myszy, czy myszy nie było. Ja twierdzę, że myszy nie było, siostra zapewnia, że było ich mnóstwo i biegały jej po nogach. Dlatego krzyczała, jakby ją kto obdzierał ze skóry. Po tym „wydarzeniu“ „rewolucyjne zabawy“ zostały surowo zabronione.

I wreszcie pamiętam ten dzień wczesnego lata, gdy Piotr przywiózł Ojca z Częstochowy, a Matka, uśmiechnięta i szczęśliwa, wprowadziła nas do stołowego pokoju.

— Ależ wyrosły, smyki! — wykrzyknął Ojciec i podniósł nas oboje do góry. Był blady i wymizerowany, ale świeżo ogolony i w nowym ubraniu.

— Kiedy pojedziemy do Częstochowy? — zapytałem z miejsca, bo już oddawna nie miałem sposobności siedzieć na koźle, obok Piotra, na co zezwalał tylko Ojciec.

— Dzisiaj jeszcze nie! — odparł Ojciec ze śmiechem.

— Dzisiaj po południu jedziemy z Mamusią we dwoje raz jeszcze do miasta, bo będzie wielka manifestacja. Tłumy ludzi!... Mamy teraz konstytucję i poraz pierwszy wychodzimy jawnie na ulicę ze sztandarami!

Nie wiedziałem, co to jest ta „konstytucja“, ale wobec wesela i ożywienia rodziców, domyślałem się, że jest to coś bardzo radosnego i pomyślnego. Zaraz po obiedzie Ojciec przebrał się, przy czym wolno nam było asystować w sypialni przy ceremonii zapinania spinek od wysokiego, sztywnego kołnierzyka. Tym razem Ojciec,



Bohdan Pawłowicz

Bohdan Pawłowicz, podróżnik, dziennikarz, literat, organizator przedwojennego Polskiego Radia i kierownik kilku jego oddziałów, w czasie 2 wojny światowej pełni służbę prasową w Polskiej Marynarce Wojennej, biorąc udział w pełnych niebezpieczeństw rejsach m.in. w słynnej i krwawej wyprawie ORP „Garland“ do Murmańska i Archangielska.

Przebywa stale w Stanach Zjednoczonych A.P., gdzie oddaje się pracy pedagogicznej, dziennikarskiej i literackiej. Aktualnie pisze wspomnienia ze swego barwnego, pełnego przygód życia. Fragment tych wspomnień drukujemy w dzisiejszym numerze „Kroniki“. Nakładem firmy B. Świdorski ukaże się w 1967 r. jego fascynująca powieść-panorama losów polskich w 2 wojnie światowej, pt. „Kurki wodne znad Guaiba“.

zamiast denerwować się i gniewać, „na idiotów co wymyślili te przeklęte spinki i to idiotyczne homonto, zwane kołnierzykiem“, śpiewał swoją ulubioną piosenkę, którą słyszeliśmy tylko przy okazji wyjątkowo dobrego humoru:

... Oh, panno Małgorzato, nie bądź tak okrutna,  
Sparzyłaś mnie żelazkiem, oh, nie bądźże taka zła!